Tom XV. Nr. 13.

1. listopada 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

SZYBILSKI,

sławny jenerał z kmiecego rodu.

Opowiadaliśmy wam już nieraz o ludziach, co urodzili się ubożuchnymi chłopkami a potem pracą i zasługą wielką wykierowali się na możnych panów i urzędników, lub dobili się w całym narodzie wielkiej sławy i znaczenia. A było w naszym kmiecym stanie, między wiejskim ludem polskim, bardzo dużo, daleko nawet więcej niż u innych obcych narodów, takich wieśniaków, co to bądź to walecznością swą w boju o ojczyznę bądź to inną jaką zasługą dla kraju doszli do chwały i zaszczytów. Mój brat a wasz serdeczny przyjaciel, ś. p. Walenty ze Smolnicy, który spoczywa dziś w Bogu, spisał wam całą książeczkę o takich sławnych Ludziach z pod słomianej strzechy, gdzie to macie wiadomość o wielkich i chwalebnych czynach Złotogoleńczyka, Cholewy, Michałka, Szczygła, Bartosza Głowackiego, Klemensa Janickiego i wielu innych — a w Dzwonku oprócz tego opisywaliśmy wam innych jeszcze wielkich i znakomitych ludzi, co się zrodzili w wieśniaczych chatach.

Dziś wam opowiem znowu o jednym chłopku polskim, który swemi wielkiemi zdolnościami, swoim rozumem i innemi dobremi przymiotami doszedł najwyższego stopnia wojskowego, bo został jenerałem i w swoim czasie wielką sławę posiadał. Człowiek ten nazywał się Szybilski.

Szybilski urodził się w r. 1701 w pewnej wsi pod miastem Lublinem, w dobrach xięcia Lubomirskiego, wojewody lubelskiego. Był on synem prostego chłopka i poddanym tego xięcia, a będąc małem chłopięciem, pasał bydło i pomagał w robocie koło domu tak jak każde inne dziecko wiejskie. Ponieważ jednak mały Szybilski był ładnym i sprytnym chłopaczkiem, więc wzięto go na służbę do xiążęcego dworu i oddano do posługi do stajen pańskich. Ciekawy chłopak dostawszy się między dworskich ludzi, począł się z własnej ochoty uczyć, i wkrótce też nietylko że gładko pisać i czytać umiał ale sobie także wiele innych pożytecznych umiejętności przyswoił. W służbie też swojej sprawował się pilnie i obyczajnie, i pozyskał sobie życzliwość swoich przełożonych, tak że wkrótce został masztalarzem.

Ale Szybilski czuł to dobrze, że ma zdolności potemu, aby był czemś znaczniejszem niż masztalarzem przy stajniach xiążęcych. Poduczał się tedy, jako mógł, przypatrywał się dworskim panom, przysłuchiwał się mądrym rozmowom, i tak się wkrótce wyuczył i przetarł między ludźmi, że nikt byłby nie poznał, że urodził się ubogim chłopkiem. A był wówczas koniuszym przy dworze xięcia wojewody niejaki pan Michałowski. Ten Michałowski był przełożonym Szybilskiego i bardzo go polubił za jego rozum i układność. Bo też Szybilski oprócz tego że był bardzo rozumny, znał się też na swem masztelarskiem rzemiośle wyśmienicie, a nikt też od niego śmielej nie dosiadł choćby najdzikszego konia i lepiej nim nie wodził.

Otoż ten Michałowski upodobawszy sobie Szybilskiego, a widząc że i w innej a osobliwie w wojskowej służbie byłby z niego chwat nielada, wstawił się za nim u xięcia wojewody. A trzeba wam wiedzieć, że xiąże wojewoda Lubomirski, tak jak wszyscy wielcy panowie polscy w owym czasie, trzymał sobie osobne wojsko czyli tak zwaną milicję. Otoż za wstawieniem się

Michałowskiego zrobił xiążę wojewoda Szybilskiego oficerem w konnem swojem wojsku. Teraz był Szybilski dopiero szczęśliwym, kiedy mógł przybrać piękny mundur oficerski, przypasać szablę i harcować przed swoim oddziałem na bystrym rumaku! Już bo to polska taka natura, że co chłop to tęgi żołnierz i niedarmo to mówią, że każdy Polak wojakiem się rodzi!

Tak tedy stał się z wieśniaczego syna pan oficer! Szybilski dobrze się sprawował w wojskowej służbie i nietylko jego komendanci ale i sam xiążę wojewoda lubili go bardzo. Ale niebawem miało Szybilskiemu zabłysnąć jeszcze większe szczęście, a stało się to z następującej okazji.

W Polsce panował wówczas król August II, który był z rodu Sas. Otoż ten król polski pojechał raz w odwiedziny do jednego bardzo wielkiego pana polskiego, do xięcia kanclerza Radziwiłła, który mieszkał w Białej. Zjechało się tedy do Białej na przyjęcie i uczczenie monarchy mnóstwo panów z daleka i bliska, a między nimi pospieszył także do Białej xiążę wojewoda lubelski, Lubomirski. Za xięciem zaś udał się tam cały dwór jego i cała wojskowa milicja, w której to Szybilski był oficerem.

Otoż razu jednego przejeżdżał się król August z swoim synem hrabią saskim ponad bystrą i głęboką rzeką, która płynie koło Białej, a za królem jechał orszak panów i oficerów. Szybilski był także w orszaku i jechał sobie z tyłu. Naraz koń królewicza spłoszył się, skoczył w wodę a królewicz spadł w samo najgłębsze miejsce, gdzie był wir strasznie bystry. Wszyscy struchleli z trwogi, król krzyknął w rozpaczy, ale nikt nie odważył się pójść w pomoc jego synowi, bo każdy bał się o własne życie. Tymczasem syn króla już tonął i tylko dłonie ponad wodę wyciągał, jakby błagał ratunku!

W tej chwili strasznej, kiedy wszyscy stracili odwagę i stali na brzegu ze zgrozy martwi gdyby trupy, jeden tylko Szybilski nie stracił serca i przytomności. Skoczył czemprędzej z konia i w jednej chwili rzucił się do wody ratować tonącego. Zrazu znikł pod wodą i wszyscy już myśleli, że zginie na dnie wraz z nieszczęśliwym synem króla — ale naraz wydobył się

na wierzch trzymając w ramionach tonącego. Długo pasował się Szybilski z rwistym strumieniem, nieraz już zdawało się, że i ratujący i ratowany marnie zginą, ale w końcu dobił się Szybilski z synem królewskim na brzeg i złożył go jeszcze żyjącego przed królem. Cały orszak królewski wydał okrzyk podziwienia i radości — a król sam uściskał zaraz Szybilskiego i zawołał:

— Mości oficerze! Uratowałeś życie memu synowi, żądaj czego chcesz w nagrodę, a niczego ci nie odmówię!

— Najjaśniejszy Panie! — odrzekł Szybilski — chyląc czoło do nóg monarchy — spełniłem tylko chrześciański obowiązek!

— Jak się nazywasz? — zapytał król.

— Szybilski!

— A więc mój dzielny panie Szybilski — rzecze król — biorę cię do siebie na mój dwór! Czy pójdziesz zemną?

— Najjaśniejszy Panie — rzekł na to Szybilski — jestem na rozkazy, ale jam poddany wieśniak z włości xięcia wojewody lubelskiego, więc bez jego zezwolenia nie mogę go opuścić.

Wtedy król August obrócił się do wojewody i rzekł:

— Mości wojewodo! Czy uwolnisz tego dzielnego człowieka z poddaństwa?

— Wola Waszej Królewskiej Mości jest dla mnie rozkazem — rzekł pokornie xiążę wojewoda.

I odtąd Szybilski był wolnym i udał się za królem Augustem. Król z wdzięczności za jego mężny i szlachetny uczynek zrobił go zaraz rotmistrzem w wojsku saskiem i urzędnikiem przy monarszym dworze. Ledwie dwa lata minęło, a Szybilski został już pułkownikiem. Znalazł tedy szczęście i zaszczyty Szybilski, ale to go nie zadowolniło całkiem. Był wówczas spokój i w Polsce i Saksonji, więc też żołnierz nie miał tam co robić. A Szybilskiemu nudziło się w pokoju, nie chciał on być malowanym żołnierzem, co zamiast nieprzyjaciół kamienie zbija szablą — chciał on powąchać prochu, pójść na boje i niebezpieczeństwa.

A właśnie wybuchła wówczas wojna wielka między cesarzową austrjacką Marją Teresą a Frydrykiem królem pruskim,

tym łupieżnikiem ohydnym, co to później pierwszy był do rozszarpania naszej ojczyzny Polski. Frydryk wielki wpadł do austrjackich krajów i wojna wszczęła się na dobre.

Szybilski skoro usłyszał o tem, zaraz powziął zamiar, opuścić saskie wojsko i króla Augusta i pójść do austrjackiego wojska, aby bić się z Prusakami, bo już takiej wojackiej był natury, że byle się tylko bić, a mniejsza tam, gdzie i o co. Myślał nad tem i myślał, ale nie śmiał się ztem jakoś wydać przed królem, aż raz kiedy widział, że król jest w wesołym i łaskawym humorze, nabrał odwagi i rzecze:

— Najjaśniejszy Panie! Zanoszę prośbę do stóp Waszej Królewskiej Mości.

— Mów czego żądasz, mój kochanku — zagadnął król August łaskawie.

— Jestem żołnierzem duszą i ciałem — rzecze na to Szybilski — a tu u nas pokój głęboki. Człowiek się nudzi i gnuśnieje, bo żołnierz przecie nie do czego innego jeno do wojny. Jest teraz właśnie bój między cesarzową austrjacką a królem pruskim. Pozwól mi tedy Najjaśniejszy Panie, abym wstąpił do wojska austrjackiego!

— Kiedy już tak chcesz koniecznie nadstawić karku na kule pruskie — rzecze król — i nie boisz się nałożyć głową na obcej ziemi, to dobrze, uwalniam cię. A aby cię przekonać, że jestem ci zawsze wdzięczny za twój czyn szlachetny, więc oto wiedz, że zaraz sam własnoręcznie napiszę list do cesarzowej Marji Teresy, aby cię łaskawie do wojska swego przyjęła.

Szybilski ucieszył się tem bardzo, a jak się rzekło, tak się stało. Został przyjętym do wojska austrjackiego i odznaczył się zaraz w wojnie z Prusakami. Razu jednego zdobył na czele swego pułku sześć armat, drugi raz rozbił cały regiment pruski, a gdy potem wybuchła inna wojna, odznaczył się w niej tak chwalebnie, że go cesarzowa mianowała jenerałem. Kiedy wojna ustała a Szybilski okryty ranami wrócił do Wiednia, chciała cesarzowa Marja Teresa poznać koniecznie walecznego Polaka i kazała go przywołać do siebie.

— Panie jenerale — rzekła do niego — za twoje waleczne czyny zasłużyłeś na wielkie nagrody i zaszczyty, chcę cię więc zrobić hrabią niemieckim!

Ale Szybilski skłonił się głęboko i odrzekł:

— Najjaśniejsza pani! zkąd mnie być hrabią! Urodziłem się pod chatą chłopską i nie wstydzę się mego pochodzenia, więc zostanę już tem czem jestem, a nie chcę być żadnym grafem niemieckim.

Bo trzeba wam wiedzieć, że Szybilski nie wstydził się nigdy pochodzenia swego niskiego, i kiedy co opowiadał, to zwykł był nieraz tak zaczynać:

— Kiedy byłem stajennym chłopakiem u xięcia wojewody Lubomirskiego...

Cesarzowa Marja Teresa widząc jego skromność, nie mianowała go już hrabią, ale wyznaczyła mu oprócz jeneralskiej pensji jeszcze 4000 złr. rocznie aż do śmierci.

Ten Szybilski sławny był jeszcze z tego, że on pierwszy zaprowadził ułanów w armji austrjackiej. Kiedy bowiem wybuchła wojna między Marją Teresą a królem pruskim, udała się Marja Teresa z prośbą do króla polskiego Augusta, aby jej pozwolił werbować w Polsce ochotników. Król polski chętnie na to pozwolił — bo już to nasza Polska zawsze była uczynną i życzliwą dla innych państw. Za to też jej się odwdzięczono tem, że ją rozszarpano w kawałki! Taka to już wdzięczność na tym świecie!

Kiedy więc cesarzowa austrjacka otrzymała od króla polskiego pozwolenie werbowania ochotników w Polsce — wysłała w tym interesie jenerała Szybilskiego, a on w Przemyślu werbował konnicę i zwerbował pułk cały. Ten pułk z samych Polaków złożony bił się tak walecznie i takich cudów odwagi na wojnie dokazywał, że Niemcy nadziwić się nie mogli. Tym pułkiem polskim dowodził sam jenerał Szybilski. Po skończonej wojnie, z pułku tego, który miał na początku tysiąc ludzi, zostało tylko dwieście, takie on straszne ognie przebywał. To byli pierwsi ułani w wojsku austrjackiem — bo przedtem ich nie było.

Kilka lat po skończonej wojnie żył jeszcze Szybilski a potem umarł w Wiedniu. Umarł jeszcze wtedy, kiedy Polska była cała i wolna i kiedy jej panował król August III.

Oto macie żywot Szybilskiego, co będąc prostym chłopkiem dobił się takiej sławy i zaszczytów zagranicą. Ale mówiąc szczerą prawdę, już on dla nas Polaków niema takiej sławy jak np. Michałko albo Bartosz Głowacki, towarzysz pana naczelnika Kościuszki — bo Głowacki bił się w Polsce i o Polskę, a Szybilski służył obcemu krajowi i za obcą sprawę walczył. Zawsze to już lepiej dla swego własnego kraju położyć choćby małe zasługi niż dla obcego jak największe i milej być kapralem między rodakami niż jenerałem u cudzoziemców. Więc też i ten Szybilski nie może mieć od nas wdzięczności i chwały, bo nie służył swej ojczyźnie. Jednakże nie trzeba zapominać, że wówczas był w Polsce spokój i jeszcze nie była w niebezpieczeństwie — a kto wie, gdyby była Polska już wtedy w potrzebie, to może i Szybilski zamiast za obcy kraj byłby się bił za własną ojczyznę. Przynajmniej ci, co go znali, opisują go jako Polaka prawego, który zawsze zachował miłość dla swego kraju.

Zawsze atoli macie z tej historji o Szybilskim piękną naukę, że i z chłopskiego stanu dobić się można zaszczytów i chwały, byle potemu była ochota i zdolność. A trzeba wiedzieć, że Szybilski żył jeszcze do tego w czasach, kiedy szlachectwo wszystko znaczyło, a kto nie był szlachcicem, temu trudno było dostąpić czegoś na świecie. Kiedy więc w owych czasach zdolność i ochota mogła tyle zrobić — cóż dopiero w dzisiejszych, kiedy to już między ludźmi jest równość, a szlachcic i chłop ma zarówne prawo we wszystkiem!

Wojtek ze Smolnicy.

Piosnka żebraka.

Jeszczem dzisiaj nie jadł, nie pił,
Nikt mnie w drodze nie pokrzepił,
Biorę Boga w świadka!
Dajcież, dajcież, bardzo proszę,
Kawał chleba lub trzy grosze,
Dla biednego dziadka!

Bywał ci ja i na wojnie,
I chodziłem szumnie, strojnie,
Niejednegom miał dukatka,
Dzisiaj nie mam lichej szaty,
Same dziury, same łaty,
U biednego dziadka.

Na jałmużnie nikt nie straci,
Co mi dacie to odpłaci
Bóg i jego matka —
A więc dajcież, dajcie proszę
Kawał chleba lub trzy grosze,
Dla biednego dziadka!

F. M.

Podanie o rakach.

Za dawnych, bardzo dawnych czasów ludzie w niektórych krajach nie jadali raków, bo się niemi brzydzili, i nie jeden wolał srogi głód znosić, niżli tknąć się takiego brzydkiego stworzenia. Słyszeliście zapewne o kraju słowiańskim, co się nazywa Morawja, która należy do cesarstwa austrjackiego. Otoż w tym kraju przed kilkuset laty nikomu jeszcze na myśl nie przyszło, aby jeść raki. A jest w tym kraju takie podanie.

W roku 1482 a więc blisko przed czterystu laty zapanowały w Morawji wielkie nieurodzaje, które też głód okropny sprowadziły. Bogaczom ledwie stawało na kawał chleba a ubożsi marli z głodu. W jednem małem miasteczku, co się nazywało Prodlice głód najbardziej panował. Ubodzy ludzie żywili się tylko pokrzywą, łykiem z drzewa, puchli z głodu i umierali straszną śmiercią.

Otoż za tem miasteczkiem Prodlicami mieszkała w małej chatce pewna bardzo biedna wdowa. Nie zostało jej nic po mężu tylko mała chałupina a do tego miała kilkoro dzieci. Gdy nadszedł głód i o ratunku nie było ani mowy, bo zkądże było wziąć chleba, kiedy się nie urodził — wszyscy ubodzy ludzie poumierali a bogatsi chodzili bladzi i nędzni gdyby trupy. O biednej wdowie i jej dzieciach nikt nie myślał, a kto sobie ją wspomniał, to był pewnym, że już tak jak inni zginęła z głodu wraz z dziećmi.

Gdy tak głód w najstraszniejszy sposób panował, pojawiła się razu jednego ta biedna wdowa z dziećmi swemi w mieście. Jakież było zdziwienie mieszczan, kiedy zobaczyli, że ta wdowa nietylko że sama wyglądała czerstwo i zdrowo, ale i dzieci jej były rumiane, tłuste i syte, jakby miały chleba podostatkiem. Zaczęli się tedy ludzie okrutnie dziwić, jakim sposobem mogła się biedna wdowa z swemi dziećmi tak dobrze podżywić, kiedy inni bogatsi ginęli z głodu, bo choć mieli pieniądze, to nie można było za nie ani ziarneczka zboża dostać.

Zaczęli tedy w mieście rozmaicie o tem gwarzyć i rozmaicie się domyślać, a nikt nie mógł pojąć, jakim cudem ta biedna rodzina mogła być zdrową i sytą przy życiu. Musicie zaś wiedzieć, że w owym czasie ludzkość nie była tak oświeconą jak dzisiaj, jeszcze się nauka nie była tak rozpowszechniła jak za późniejszych lub na przykład dzisiejszych czasów. Panowała tedy wówczas między ludźmi wielka ciemnota, a przy tej ciemnocie wierzyli wszyscy w czary, gusła i inne takie głupstwa z których się dzisiaj już nawet i dzieci śmieją.

Owoż jak ujrzeli ludzie tę wdowią rodzinę, że ani schudła, ani zbladła, ale była rumiana i syta, zaczęli zaraz przez swą ciemnotę domyślać się w tem jakichś niepodobnych rzeczy.

— Wtem jakaś nieczysta sprawa być musi! — zawołał zaraz jeden mieszczanin z Prodlic.

— A jużci że nieczysta! Ja jestem jeden z najzamożniejszych mieszczan w Prodlicach a zeschłem jak deska z głodu a dziecko na gorączkę umarło mi z niezdrowego pokarmu, a ta żebraczka wygląda jakby się samą pieczenią wypasła! — rzekł drugi.

— To pewnie z czartem sprawa! — dodał trzeci.

— Jużci to musi być czarownica! — zawołała jakaś głupia mieszczka.

Jak zaczęli takie brednie gadać, tak zbiegł się zaraz tłum ludzi i zaczęli wołać na biedną wdowę:

— Czarownica! czarownica! Ją szatan żywi!

— Prowadźmy ją na ratusz! — zawołali inni.

I natychmiast obskoczyli biedną wdowę i jej dzieci i powlekli ją na ratusz, aby ją oskarzyć o gusła i czary. Ławnicy, co sądzili w ratuszu, byli na nieszczęście tak samo ciemni ludzie jak i inni, i wierzyli także w czary, więc poczęli biedną wdowę sądzić o czary.

— Masz majątek? — pytają jej sędziowie.

— Nie mam nic, toć jam biedna, opuszczona wdowa z sierotami! — rzecze przestraszona kobieta.

— Miałaś może w domu krowę i zarżnęłaś ją na życie?

— Nie, krowy nigdy nie miałam.

— Więc miałaś mąkę i chleb?

— I tego nie miałam, prześwietni sędziowie! — mówi biedna wdowa.

— Więc czemżeś żywiła siebie i dzieci? — pytają srogo sędziowie. — To inaczej być nie mogło jeno przez czary! Przyznaj się kobieto zaraz!

— A na miłego Boga — rzecze zalękniona wdowa — albož ja wiem co o jakich czarach, przecież znają mnie wszyscy, żem cnotliwa i pobożna niewiasta.

— Więc czemże żyłaś? — pytają sędziowie.

— Swiętą prawdę zaraz wam opowiem, moi łaskawi panowie — rzecze wdowa. Kiedy głód okropny powstał i już nigdzie ani okruszyny chleba nie można było wybłagać, rozpacz mnie się chwytała. Sama byłabym chętnie ginęła śmiercią ale serce mi pękało gdym patrzała na dziatki moje, jak z głodu puchły i na gorączkę chorowały. W tej okropnej rozpaczy wyszłam raz do potoka, co płynie pod lasem, aby nabrać wody dla chorych dzieci, a tu widzę mnóstwo raków. Wpadło mi tedy na myśl, aby te raki łapać i warzyć. Zrazu okropne obrzydzenie mnie wzięło, aby jeść takie paskudne robactwo, ale gdy nie było innego ratunku, więc nałapałam tego, uwarzyłam żywcem, bom nie wiedziała jak zabić takiego skorupiastego robaka, i jadłam razem z dziećmi. To nas tak syciło, żeśmy już głodu nie czuli i przy zdrowiu się zachowali. I powoli takeśmy się do tego przyzwyczaili, żeśmy już jedli raki bez obrzydzenia.

Jak sędziowie to usłyszeli, aż się porwali z ławek z wielkiego zadziwienia! Była to bowiem w owych czasach na Morawji rzecz niesłychana, aby jeść takie brzydkie robactwo, jak raki! Więc choć biedna wdowa była niewinną i świętą prawdę mówiła, sędziowie zamiast ją uwolnić, zawołali:

— Musisz być czarownicą, kiedyś się nie bała jeść raków. Gdybyś nie znała praktyk djabelskich, nie byłabyś się nigdy odważyła na to!

Daremnie biedna wdowa tłumaczy, rozpowiada, zaklina się i błaga, panowie ławnicy ani słuchać jej nie chcą. Uznali ją za czarownicę i skazali na śmierć przez spalenie. Wrzucono tedy biedną wdowę do ciemnicy a na drugi dzień mieli ją spalić na rynku.

Wtem nagle przyjechał do miasta starosta, wielki pan i możny, który się zwał Towaczowski. Najstarsza córka biednej wdowy, która się nazywała Bolka, a była dziewuchą prześlicznej urody, pobiegła zaraz do niego i rzuciła mu się do nóg prosząc, aby kazał wypuścić jej niewinną matkę. Starosta wysłuchał płaczącego dziewczęcia, dowiedział się dokładnie, jak to było, zdziwił się bardzo, ale że był człek rozumny i światły, więc poznał zaraz, że wdowa jest najniewinniejszą w świecie. Zawołał tedy do siebie ławników miejskich i rzecze im:

— Ta kobieta jest niewinną. Głód nie zna ani strachu ani obrzydzenia, więc nie dziw, że ta kobieta chwyciła się raków. Zamiast ją karać, powinniście jej być wdzięczni, bo wam wykryła nowe pożywienie, któregoście przedtem nie znali. Rozkazuję, abyście ją zaraz wypuścili!

I tak wypuszczono biedną wdowę, a jej córka, piękna Bolka, tak się podobała jednemu z sług starosty, że prosił swego pana, aby mu pozwolił pojąć ją za żonę. Starosta pozwolił, wyposażył dziewczynę, a jej mężowi nadał na pamiątkę tego zdarzenia szlachectwo ze znakiem raka na herbie.

Takie jest podanie o biednej wdowie i o rakach.

Dziś już wszędzie raki jedzą bez obrzydzenia a niektórzy wolą tę potrawę niż inne łakocie. Czem dawniej przed głodem uratowała się biedna wdowa, to teraz lubioną jest potrawą na pańskich stołach. I nietylko raki, ale i inne obrzydliwe stwo-

rzenia jadają ludzie. Niemcy na przykład lubią bardzo żaby i mają je za największy przysmaczek — a jest wielu takich, co sobie smakują bardzo w ślimakach. U nas Polaków jeszcze żab i ślimaków nikt nie je, a jest nawet jedna piosnka co tak powiada:

Indyk z sosem,
Barszcz z bigosem
Jedli dawne pany,
A dziś żaby i ślimaki
Jedzą jak bociany!

Ale czegoż głód nie dokaże! Głód, jak powiada stare przysłowie jest najlepszym kucharzem — a jak przyciśnie człowieka, to nie ma innej rady, jeno jeść co się nawinie. Na wojnach gdy żywności zabraknie jedzą końskie mięso — a w Paryżu to są osobne końskie jatki, a ubodzy kupują sobie to mięso i żywią się nim dobrze. A bywało kiedy forteca jaka zostanie otoczoną przez nieprzyjaciół i nie ma zkąd dostać żywności, to załoga je szczury, psy i koty. Zdarzało się nieraz, że człek umierający z głodu szarpał zębami własne ciało lub rzucał się na innego człowieka, aby się jego ciałem żywić. Okropna to, straszna rzecz głód, i dlatego w suplikacjach błagamy litościwego Boga, aby nas od tej klęski zachował!

Piękne przykłady.

Gromada mileńska.

Niedaleko Załoziec, na samej granicy, leży wieś Milno. Gromada Mileńska składa się z Mazurów i Rusinów a słynie z dawien dawna porządkiem i uczciwością. Lud tam zapobiegliwy, pracowity, pilny i trzeźwy, a co bardzo wiele znaczy, chętny do nauki.

Otoż w tem Milnie był dzierżawcą p. Gr., człowiek zacny i prawy, który żył zawsze z gromadą w zgodzie i miłości jak brat z braćmi, przyjaciel z przyjaciołmi. Już od lat kilkunastu był p. Gr. dzierżawcą w Milnie, a cała gromada polubiła go serdecznie. Ale nie zawsze dobrym dobrze na świecie. Tak

i temu panu dzierżawcy w ostatnich latach jakoś źle poszła gospodarka, nie szczęściło mu się na roli i stracił bardzo dużo na dzierżawie. Najął sobie tedy inną dzierżawę, daleko od Milna i z żalem postanowił pożegnać się na zawsze z gromadą mileńską, swymi poczciwymi sąsiadami, z którymi tyle lat w braterskiej zgodzie przepędził.

Kiedy p. Gr. miał wyjeżdżać z Milna, zjechali się panowie z okolicy, którzy mu także byli bardzo przyjaźni, aby pożegnać swego dobrego sąsiada. Pożegnał się z nimi serdecznie p. Gr. i już sam ładował się do wyjazdu, kiedy znowu około ósmej godziny widzi przez okno, jak cała gromada mileńska z starszymi gospodarzami na czele wsunęła się na dziedziniec dworu.

Pan Gr. czeka z swymi gośćmi, co z tego będzie, a tu wchodzi do pokoju trzech gospodarzy i rzeką panu:

— Gromada czeka na podwórzu i prosi Pana, abyście byli łaskawi wyjść do niej, bo ma Panu coś powiedzieć!

Wychodzi tedy p. Gr. z tymi panami, co byli u niego w gościnie, na dwór i grzecznie wita gromadę. Gromada sobie uchyliła czapek i naraz wystąpił z pośród gminy jeden z najporządniejszych gospodarzy i zawołał:

— Uciszcie się! Proszę o głos!

Zaległo milczenie między gromadą a wonczas ów kmieć poważny pokłonił się i przemówił temi słowy:

— Pochwalony Jezus Chrystus! My gromada żałujem, że nas porzucacie, a wam czy nas nie żal? Toć to się przeżyło lat kilkanaście pospołem, wyście nam jak mogli zawsze dobrze radzili i sprzyjali, a i my gromada byliśmy wam z duszy i serca zawsze życzliwi. Znać że z wami łaska Boża jest, bo odkąd tu z nami mieszkacie, ani gradu nie miewaliśmy, ani razu też pomór na bydło nas nie nawidził, choć w około sąsiednim gromadom zaraza chudobę precz odbierała. Ej! zostańcież z nami, taż to my wam nigdy w chęci wspak nie byli, a zaś chyba nas się odrzekacie, że wam Milno procentów nie daje, a dyć na to pozwólcie czej gromada znajdzie radę, bo gdy wam może pieniędzy na dalsze zakupienie Milna nie staje, toć my wam tego bez prowizji na rok jeden, ile komu stać pożyczymy. Ot weźcie odemnie zjakich pięćset reńskich, które

sobie krwawo zapracowałem! Ja je wam z duszy, z serca pożyczę bez prowizji.

— A odemnie sto reńskich! — zawołał inny gospodarz.

— Odemnie pięćdziesiąt! — dodał drugi.

— Odemnie sto pięćdziesiąt! — krzyknął trzeci.

I tak wszyscy poczęli wołać i ofiarować mu swe pieniądze i prosić, aby został z nimi.

Usłyszawszy te słowa pan Gr. wybuchnął głośnym płaczem ze wzruszenia na tę miłość i serdeczną życzliwość zacnej gromady, i ze łzami w oczach począł im dziękować za szlachetne chęci a potem ciągle płacząc im odpowiedział, jako się już związał umową o inną dzierżawę i już się w Milnie wysprzedał, więc choć mu się serce kraje, że takich przyjaciół opuszczać musi, nie może z nimi pozostać.

Na to jeden z gospodarzy wziął na ręce synka dwuletniego dzierżawcy, podniósł go wysoko i zawołał:

— Proszę o głos! Kiedy prożby nasze od waszych zamiarów odwieść was niegodne, to niechże was poruszy widok tego najmłodszego, tu u nas zrodzonego synka waszego! Toć wasi synkowie pośród nas zrodzeni i tak do nas należą, zostawcie ich nam i zostańcie i wy z nimi i z nami!

Na takie serdeczne prośby spłakał się pan Gr., spłakali się i inni panowie co byli przytem, ale trudna rada, co się stało nie mogło się odstać i pan Gr. nie mógł pozostać. Podano wino i kieliszki, pan Gr. wypił w ręce wójta i zawołał:

— Na zdrowie i powodzenie kochanej i zacnej gromady mileńskiej! Niech żyją włościanie mileńscy!

— Wiwat! Niech żyją! Kochajmy się! — zawołano i kielich począł obchodzić kolejno, a kilku gospodarzy przemówiło jeszcze do pana, a każdy z serca, każdy mądrze i szczerze!

A przy tem wszystkiem z wielką powagą zachowała się gromada, tak jako przystoi na kmieci polskich. Kiedy jeden z najmłodszych gospodarzy zawołał: „Proszę o głos!“ to mu inny starszy tak odpowiedział:

— Nie damy ci głosu, bo w tak zacnem zgromadzeniu wolno tylko przemawiać zasłużonej starszyźnie albo i każdemu młodemu, co przynajmniej cztery klasy w szkole ukończył!

Tyś jeszcze bardzo młody i nie uczony, więc słuchaj co inni starsi i mądrzejsi mówią!

Tak to pięknie postąpiła sobie gromada mileńska! Cześć jej za tę ludzkość i szlachetność!

RÓŻNOŚCI.

Wiejski adwokat. Już nieraz przestrzegaliśmy wszystkich włościan przed pokątnymi pisarzami, którzy namawiają poczciwych ludzi do procesu, wyłudzają od nich pieniądze niby to na stęple i papiery, okłamują ich, gryzą, aż nareszcie i na biedę temi procesami obracają Jeżeli kto ma jaką sprawę prawną, której uniknąć nie może, to niechże się udaje do prawdziwego, uczonego adwokata, co ma dyplom cesarski, ale nie do lada jakiego oszusta w mieście lub na wsi, co tylko na własny, niepoczciwy zysk dybie.

Na przykład opowiem wam tu o jednym pokątnym pisarzu z Wadowic, Macieju Kozłowskim, który stawał za swoje sprawki niedawno temu przed kryminalnym sądem w Krakowie.

Ten Kozłowski podbechtywał chłopów do procesów, a zawsze do takich, które żadnym cudem wygrać nie można było, bo były niesłuszne, tumanił ich, łudził, oszukiwał, wyciągał pieniądze i o biedę przyprawiał. Za te swoje niecności był już kilka razy przez sąd do odpowiedzialności pociągany. Ale to go nie poprawiło i znowu sądzono go w Krakowie za oszukanie trzech wieśniaków. Nie będę wam opowiadał wszystkiego, tylko wypiszę wam jedną sprawę ku nauce.

Łukasz Grabowski, gospodarz z Gołuchowic miał proces o grunt z drugim włościaninem. Proces ten przeszedł przez wszystkie sądy, wszystkie dały wyrok że Łukasz Grabowski niema słuszności. Niebyło więc innej rady, jeno poddać się temu wyrokowi. Łukasz Grabowski chciał się jednak jeszcze dalej procesować i poszedł do prawdziwego adwokata, który jako uczciwy i uczony prawnik nie chciał jego procesu prowadzić, jeno mu otwarcie powiedział, że z tego już nic być niemoże. Ale Łukasz Grabowski nie poprzestał na tem, poszedł on do tego pisarza pokątnego Kozłowskiego, a ten mu zaraz nakłamał, że jego sprawa jest czysta i wygrana, jeno dużo na nią trzeba będzie wyłożyć pieniędzy. Nieroztropny Grabowski uradował się tem bardzo, uwierzył wszystkiemu i dał zaraz niecnocie pisarzowi 20 reńskich.

Po niejakim czasie, gdy się wieśniak pytał, jak też jego sprawa stoi, rzekł Kozłowski, że wszystko dobrze, jeno trzeba jechać zaraz do Krakowa. Grabowski uwierzył i odwiózł Kozłowskiego do Krakowa a tu mu dał jeszcze 15 reńskich na stę-

ple i na „naprawę“. Kozłowski wziął te pieniądze, przehulał je w Krakowie a potem rzekł Grabowskiemu, że już sprawę całą naprawił. Grabowski dał mu jeszcze 5 reńskich i odwiózł go nazad do Wadowic. W Wadowicach nagadał znowu Kozłowski Grabowskiemu, że w Krakowie nic z jego sprawy nie będzie i zażądał znów 25 reńskich. Wieśniak łatwowierny dał mu znowu te pieniądze, a gdy się potem znowu zgłosił po wiadomość, otrzymał odpowiedź, że trzeba jechać aż do Wiednia, do samego cesarza. Grabowski przystał i na to, dał pieniądze na drogę i pojechał razem z Kozłowskim do Wiednia.

W Wiedniu Kozłowski żył sobie za krwawy grosz Grabowskiego, aż wreszcie szczęście zdarzyło, że Grabowski zszedł się z ruskimi chłopami deputowanymi, co właśnie wówczas byli na sejmie wiedeńskim. Ci rozumniejsi i świadomi, jak to takie sprawy idą, powiedzieli zaraz Grabowskiemu, że Kozłowski go tylko oszukuje. Jak Kozłowski zwąchał, że Grabowskiemu otworzyli oczy ci wieśniacy, nie pytał wiele, jeno cichaczem, potajemnie, uciekł z Wiednia a Grabowskiego zostawił bez pomocy jak na lodzie.

Wielce się zfrasował biedny Łukasz Grabowski, gdy został sam jak palec w wielkiem mieście, między Niemcami, bez grosza. Szczęściem wpadł na dobrą myśl, kazał sobie napisać skargę na Kozłowskiego do samego ministra a sam poszedł do cesarza. Cesarz przyjął go łaskawie, gadał do niego po polsku i dał mu 15 reńskich na drogę. Wrócił tedy biedny Grabowski do domu, a Kozłowskiego kazał minister sądzić. Dnia 24. tego miesiąca sądzono też niecnotę przez całe dwa dni, tyle sprawek na niego się wykryło. Pokazało się, że od Grabowskiego Kozłowski wytumanił razem 156 reńskich. Do tego oszukał jeszcze Kozłowski dwóch innych chłopów. Wił się ten Kozłowski jak piskorz przed sądem, klął się na swą „jedynaczkę duszę“, ale mu to nic nie pomogło. Sąd skazał go na ośm miesięcy kryminału za oszustwo.

Weźcież sobie przykład z tej historji.

Dukat xięcia Radziwiłła. Xiążę Karol Radziwiłł, pan polski, niezmiernie bogaty, kazał sobie z swego złota wybić jeden dukat ogromny, który ważył blisko dwa cetnary. Ten jeden dukat zmieniał xiążę Radziwiłł za trzysta tysięcy zwykłych dukatów. Wyobrazić sobie więc możecie, co to był za dukat i jacy to dawniej byli bogacze w Polsce!

POKORA.

Czyny ludzkie nie wiele przed Wszechmocnym znaczą
Jeśli z niemi nie idzie i pokora społem,
Bo w życiu, co jest tylko pielgrzymką tułaczą,
Pokora jest do nieba wiodącym Aniołem!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.